

Kronika tygodniowa.

Ostatnia kronika w karnawale, byłoby więc wskazaniem, aby była wesoła, zwłaszcza że idzie w świat szeroki w sam „tłusty czwartek“.

Ale jak się weselić, skoro do tego niema powodu. Czy wyobrażał sobie kto kiedykolwiek przed wojną „tłusty czwartek“ bez paczków? Nawet natchniony poeta śpiewa o nich:

„Tłusty czwartek co rok bywa,

Każdy na paczkach utywa...”

ale też paczek kosztował wówczas pięć centów i można się było zdobyć na podobny wydatek. Dziś żyjemy tylko wspomnieniami dawnych, lepszych czasów i dochodzimy do przekonania, że się przecież można obejść bez paczków. W cuklarniach ich robić nie wolno, gdyż Urząd walki z lichwą jest także Urzędem walki z paczkami, w domu niema z czego, bowiem sama karta maczna, cukrowa i tłuszczowa nie wystarczy. Choćby zresztą potrzebne składniki się i znalazły, to jeden paczek kosztowałby dziś tyle, co dawniej całodzienne utrzymanie rodziny, złożonej z sześciu osób.

Zatem obejdźmy się smakiem i zaczniemy już dziś śpiewać „gorzkie żale“.

A tematu do nich nie braknie. Taka na przykład relacja korony do marki aż się prosi, aby ją włożyć na papier, bo jest stwierdzeniem przysłowia: „Zamienił stryjek... koronę na markę...” albo „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... markę”, choć, co prawda, baby z markami kłopotu nie mają.

Jak w poprzedniej kronice zaznaczyłem, sprawę ową poddałem specjalnym studyum, doszedłem przecież do przekonania, że nic nie wystudynuję, a my na tej zamianie wyjdziemy niczem... Zabłocki na mydło.

„Niech się dzieje wola nieba,

Z Grabskim też się zgadzać trzeba...”

powiada każdy z rezygnacją, a najbardziej zrezygnowany jest ten, kto nie ma ani marek ani koron, bo nie potrzebuje sobie łamać głowy przy przeliczaniu, aby potem dojść do przekonania, że go oszwalbiono.

Na pierwszego lutego wypłacono urzędliwym pensyom w markach i obiecano w najbliższym czasie dodatek na pokrycie strat, jakie poniosą skutkiem zmiany waluty. Cieszą się też z tego powodu, ale nie urzędnicy, lecz kupcy i przemysłowcy, którzy korzystają z każdej podwyżki płac i podnoszą równocześnie ceny. Chwalą też pana Grabskiego, życzą mu długiego życia i zdrowia i kilku jeszcze tego rodzaju „regulacji waluty“.

Rozmawiałem z jednym z kupców w tej kwestyi i usłyszałem z jego ust te mądre słowa:

— Ja tam, proszę kochanego pana, nie mnię bynajmniej trudzić mych gości jakimś tam przeliczaniem koron na marki! To co dawniej kosztowało trzy korony, teraz trzy marceżki!...

Tego samego zdania jest i kamienicznik, który mówi:

— Panu dobrodziejowi nie zrobi zapewne różnicy, jeśli od kwartału będzie płacił czynsz w marceżkach, nie w koronkach!

— Pewnie, że nie! Przyjdzie to z łatwością, zwłaszcza, że magistrat wydał tabelę do przeliczania.

— Ktoby tam łamał sobie nad tem głowę. Zamiast dać exterysta koronek, da pan dobrodziej exterysta marceżek i wszystko będzie w porządku! Zresztą powiem panu w zaufaniu, że te marki to też niepewne. Na zagranicznych giełdach nie są zupełnie notowane.

Najwygodniej natomiast urządzają się baby, naturalnie wiejskie i dlatego zaznaczyłem wyżej, że one z tą zmianą mają najmniej kłopotu. Świadczą o tem rozmowa, jaką na własne uszy posłuchałem na targu.

— A po czemu te jajka gosposia? — pyta jakaś chuda niewiasta w wytartym zakładzie, co każe wnosić, że to żona urzędnika.

— A po dwie korony za sztukę — odpowiada poważnie zagadnięta, z miną bardziej seryo, niż kura, gdy te jajka znośiła.

— Ale ja nie mam koron, tylko marki. Ileż to będzie?

— Ja się tam na nijakich markach nie znam!... Ale niech ja już stracę! Wezmę po cztery marki za jajko!...

I tak dzieje się na każdym kroku, nie ulega zatem wątpliwości, że bardzo prędko nauczymy się liczyć na marki i przeliczanie nie sprawi nam żadnej trudności. Rozchodzi się jedynie o to, aby było co przeliczować i byłoby też ze wszechmiar wskazaniem, aby pan minister Grabski wziął to pod swą światłą rozważkę.

Jak z powyższego przedstawienia zupełnie jasno wynika, sprawę regulacji, względnie unifikacji waluty można zatem uważać za załatwioną aż do czasu, gdy przyjdzie znów na porządek dzienny zmiana marek na złote polskie, co już jest zapowiedziane, niewiadomo

przecież kiedy nastąpi, bo na razie drukuje się ciągle marki, aby nam gotówki nie brakło. Trzeba się zresztą spieszyć, bo papier z dnia na dzień coraz bardziej drożeje.

Na zamianie koron na marki porobili różni spekulanci bardzo piękne interesy, a pocieszają się nadzieją, że jeszcze zrobią, gdy po plebiscycie przyjdzie do regulacji waluty na Śląsku Cieszyńskim. Na razie ulokowali tam swe „oszczędności“ i dlatego u nas taki brak gotówki.

— Ja mam czas — mówi do mnie jeden „finansista“ gdy go zapytałem, czy już wymienił korony na marki — POCO ja się mam spieszyć? Ja poczekam, aż do Polski przyłączy Śląsk i jedna waluta będzie obowiązywać w całym kraju.

Czy na tem wyjdzie dobrze skarb polski, to już inna rzecz, ale ja się tak dobrze na tem nie znam, więc przechodzę nad tem do porządku dziennego, a widzę na nim bardzo ciekawy punkt „Miłość i katar“.

I ani myślałem, że znowu stoczyć muszę walkę na płótnie z tym samym Autorem z *Kuryera*, co w poprzednim numerze i wyjdę z niej znowu obronną ręką, a nawet zwycięsko, gdyż Autor pokona sam siebie.

Ze katar może być wrogiem miłości, to pewnie i pod tym względem zgadzam się z Autorem, że nie ma w tem nic przyjemnego, gdy się chce wybranej swego serca ukraść całusa, a ona wtedy kichnie. Niejedno małżeństwo nie doszło już z tego powodu do skutku.

I to jest także stwierdzeniem, że kataru można się nabawić przez pocałunek, że zatem cmokanie po rękach, zwłaszcza starych bab, nie jest wskazaniem i pochwałą należy owego lwowskiego lekarza, który wydał wojnę całusom, podobnie jak minister zdrowia komarom.

Ale Autor odnośnego artykułku w *Kuryerze* powinien był dotrzeć do końca i zalecając Czytelnikom, aby się do rad owego kapłana Esznapa stosowali, nie dodawać od siebie, że pocałunek można z łatwością zastąpić ceremoniałem powitalnym Eskimosów, to jest pocieraniem nosa o nos. Katar jest przecież, jak Autor wykazuje, wrogiem miłości, a w ten właśnie sposób najłatwiej się go nabawić. Na podobne czulości mogą sobie pozwolić tylko ludy najdalejszej północy, gdzie niema ministra zdrowia, nieznanym zatem jest katar, a do „lali nosa“ nikt wagi nie przywiązuje, może go więc narazić na zupełne „wytarcie“, o ile ma liczne stosunki i często się wita i łęga.

Jutro to przyznać trzeba, że w *Kuryerze* coraz częściej spotyka się artykuły, grożące nam zupełną rewolucją, nie w politycznym wprowadzie tego słowa znaczeniu, gdyż na to nie zgodziłby się zapewne pan prektorator.

Za taki uważam na przykład artykuł p. t. „Czy chcesz być piękną?“

Treść jego: Autor spotyka niewiastę znajomą i oczom nie wierzy, tak wypiękniała. Pyta ją zatem ciekawo:

— Dlaczego pani tak wypiękniała?

A ona mu na to, wywracając melancholijnie oczy:

— Bo kocham!

A proszę mi powiedzieć, czy jest na świecie bodaj jedna niewiasta, która nie chciałaby być piękną? Zatem inkryminowany artykuł w całej swej osnowie zawiera znamiona zbrodni zawracania głowy pięci na dobrej, która odtąd będzie myśleć tylko o miłości!

Skutki mają już na sobie! Nie dawniej, jak onegdaj, zbliża się do mnie Weronika I, wdychając, rzeczno śladko:

— Ach!... Ja tak chciałabym być piękną!

— Zie!... — pomyślałem sobie — Babszo widać wyczytało w *Kuryerze*, co to za cudowny środek ta miłość. A dla świętego spokoja własnoręcznie wrzuciłem numer do pieca!

I oślad teraz jakiś do niczego, niedogotowany, albo przypalony, a ona tylko chodzi z kąta w kąt, niczem duch pokutujący i wzdycha, bo... „minęły dni wioślne i przekwitły ciała wdzięki!...“, czyli innymi mówiąc słowy, „nie pomoże blansz, ni róż, kiedy baba stara już...“ zatem nie pomoże i kochanie!

Taki napozór niewinny artykuł, a ile on może narebić złego i jak niejednej białogłowie „zawrócić gitarę“.

Kochanie to zresztą rzecz przestarzała, na którą nowoczesne niewiasty mało zwracają uwagi, mając głowy czem innem zajęte. Rok 1920 ma, według zapowiedzi nowej paryskiej wróżki, pani Fraya, przynieść rodzajowi żeńskiemu takie zdobycze, że nawet gramatyka zmieni odwieczny porządek i wysunie go na pierwsze miejsce przed męski... Kobieta ma zająć wszystkie dziedziny życia i wytrącić berło z rąk mężczyzny, który zejdzie na drugi plan. Początek już zrobiony: w Anglii białogłowa została naczelnym redaktorem poważnego pisma codziennego, we Francji zaś druga sekretarka ministra marynarki. Jeśli dalej tak pójdzie, będziemy musieli zrezygnować z udziału w tym pu-

blicznem, a zająć się gospodarstwem domowem i dlatego to praktyczni Anglicy założyli w Londynie szkołę gotowania, naprawiania bielizny itd., przeznaczoną wyłącznie dla mężczyzn.

Kobiety, zajęte polityką, nie będą miały czasu na takie głupstwa, jak miłość. Czy u nas przyjmie się ten kierunek i jak rychło, tego powiedzieć nie można, choć nasze panie mają już dziś więcej praw obywatelskich, niż ich francuskie koleżanki, mogą bowiem wybierać i są wybierane i to nie tylko na sali balowej. Jest ich w Sejmie mało i siedzą tam stołunkowo dość cicho, ale to może i lepiej, gdyby się bowiem rozgadały, nie mielibyśmy konstytucyi nawet i za sto lat.

Oprócz zajęć domowych zostanie nam praca umysłowa, a właśnie otwierają się przed badaczami nowe horyzonty. Telegram bez drutu odbiera ciągle jakieś tajemnicze depesze z zaświatów, co naprowadza na domysł, że i na innych planetach żyją istoty, może nawet mądrzejsze od nas i chcące się z nami skomunikować. I kto wie, czy nie doczekamy się tej chwili, o której tylko śnił nasi dziadkowie i ojcowie, że każdy będzie mógł z łatwością wyjechać do swych dóbr... na księżyc, o ile naturalnie pozwoli na to nasze panie, które tymczasem ujmą cały ster władzy w swe delikatne łapki. A co się w nie raz dostanie, tego z pewnością tak łatwo nie wypuszczą.

Na razie jest przecież jeszcze po staremu, to jest, że my rządźmy światem, a nami kobiety, myś jest głową domu, a żona szyją, która nią kręci.

To się jednak musi zmienić i to dzięki właśnie wojnie i wytworzonym przez nią stosunkom. My wyciągaliśmy z pleca gorące kasztany, a jadają je białogłowy. Z czasem przyjdzie i na nas kolej, że będziemy musieli zakładać towarzystwa, mające na celu zdobycie dla pięci brzydkiej takich praw, jakie dawniej miała, ale sprzątnęły je z przed nosa kobiety.

Kto dotyje, ten się przekona, że nie tylko *madame* Fraya miała rację, ale i kronikarz, kto unrze wcześniej, temu będzie chyba wszystko jedno, jak się tam po śmierci jego ukształtują stosunki społeczne.

A sposobności przeniesienia się na drugi świat nie brak. Mamy do wyboru dżumę, tyfus, hiszpankę, japońkę itd., a tak reklamowana „kwaśna kuracja“, mająca te zarazy odpędzić, nie zdołała sobie jeszcze dotąd zdobyć u nas prawa obywatelstwa. Gdyby bodaj można było na pocieszenie lyknać sobie kielich przedwojennej „kwaśnej z mocną“, byłoby to doskonałym *antidotum*. Ale truda!... Spirytus tak poszedł w górę, że na kieliszek gorzałki może sobie pozwolić chyba paskarz, lub inny wojenny milioeer, a fabryka „polskich wódek“ na Podgórzu jakoś nie daje znaku życia.

Madame Fraya zapowiada, że życie wróci na normalne tory, pocieszajmy się zatem nadzieją, że już może w roku przyszłym będziemy się w karnawale mogli raczyć paczkami, w poście zaś śladkami, a na razie... obejdźmy się smakiem!

Tak to przecież rychło, jak się kto może spodziewa, nie nastąpi, albowiem, jak powiedział filozof, wielkie rzeczy tworzą się powoli. W roku bieżącym obeszlśmy się bez paczków w karnawale, a tak się wszystko składa, że w poście będziemy się musieli wyrzec i śledzi. Choć nie pora na nie obecnie, a Urząd aprowizacyjny ogłosił, że do Krakowa nadeszło ich kilka wagonów, dalszy zaś transport jest w drodze, śledzie już zdrożały i za „marynowanego“ trzeba będzie dziesięć koron, a w miarę zaś popytu i cena ich wzrośnie.

Nasze wojska dotarły już wprawdzie do brzegów Bałtyku, można więc zacząć łowić śledzie na własną rękę, nim jednak ujrzymy w handlu pierwszego polskiego śledzia, dnie jeszcze wody upłynęły tak we Wiśle, jak i w Rudawie.

Cieszymy się przecież nadzieją, że będziemy mieć własne śledzie, a upust jej radości daliśmy w dniu 8. lutego, urządzając na wzór wenecki zaślubiny z morzem. Małopolska puściła swój wianek Wisłą do Bałtyku, czy on tam przecież dopłynie, tego nie wie nawet nowa paryska wróżka.

A przepowiednie jej zaczynają się spełniać.

Na rok 1920 zapowiedziała cały szereg katastrof, przeważnie kolejowych (prawdopodobnie dlatego, aby ludzie ubezpieczali się od wypadku...) i jedną, obcho-

dzącą specjalnie nasz naród, już mamy! Nie miała ona wprawdzie nic wspólnego z kolesją, była przecież bardzo bolesną, bo dotknęła cały naród. Jak twierdzi jeden z krakowskich dzienników „jęk boleści rozległ się w całej Polsce na wiadomość o tragicznym pożegnaniu z tym światem... Baski murmańskiej, białej niedźwiedzicy, przywiezionej do Warszawy przez wracające z północy wojsko. Padła w kwiecie wieku ofiarą zachłanności okolicznych chłopów, a „dusza jej“, jak się autor artykułu wyrażał, aleciała gdzieś pod blegan i tam w przyróżli łapie rybki i poluje na tłuste psy morskie.